

# Lewy majowy

15 lutego 2015

Trzy miesiące przed wyborami brytyjska lewica ma problem. Zachowawcza, pragmatyczna kampania zamiast spodziewanego zwycięstwa może przynieść porażkę. Bo rozmija się z radykalizującymi nastrojami części elektoratu Labour.

W politycznym teatrze na Wyspach nie ma żadnych zmian. Rok 2015 wygląda tak samo jak poprzedni. Z partyjnych afiszy na wyborców spoglądają wciąż te same twarze, przekonujące do siebie tymi samymi hasłami. Repertuar identyczny jak w poprzednim sezonie. Gra aktorów nie wychodzi poza dawno rozpisane scenariusze. Wyborczy spektakl, choć ze zmieniającą się scenografią, jest z grubsza taki sam. Nuda jak w polskim kinie.

Obie główne partie – Labour i Konserwatyści – panicznie boją się popełnić najmniejszy błąd, który może przechylić szalę zwycięstwa na rzecz oponentów. Stąpają więc ostrożnie po potłuczonym politycznym szkle. Tu nie ma miejsca na żadne szaleństwa, odejścia od normy i przyjętej wcześniej strategii wyborczej. Bo nawet lekka zmiana środka ciężkości grozi zachwianiem równowagi i bolesnym skaleczeniem. Ten dziwaczny, pragmatyczny, szczegółowo wyreżyserowany taniec z jednej strony pozwala zachować sondażowe status quo, ale z drugiej hamuje jakąkolwiek ofensywę. Pragmatyzm i wyrachowanie paraliżują. Zwłaszcza opozycję.

Stratedzy Partii Pracy przez długi czas byli przekonani, że do wyborczego triumfu wystarczy jedynie delikatne punktowanie porażek torysów. W końcu zaordynowana przez tandem Cameron – Osborne polityka zaciskania pasa Brytyjczykom wychodzi bokiem. Zauważalne pogorszenie standardu życia, stagnacja płacowa, systematycznie pogarszająca się jakość serwisu instytucji publicznych wynikająca z polityki cięć są dowodem na to, że strategia rządu Davida Camerona jest błędna. Tyle tylko, że

zachowawcza kampania Labour dzisiaj już nie działa. Zmienił się bowiem kontekst. Sukces wyborczy radykalnie lewicowej Syrizey w Grecji i wzrost znaczenia równie radykalnej lewicy w Hiszpanii i Portugalii spowodowały, że wyborcy i sympatycy Labour domagają się od Eda Milibanda większej odwagi oraz bardziej progresywnej polityki. I przerzucają swoje poparcie na Zielonych lub na szkocką SNP. A w brytyjskim, nieproporcjonalnym i mało demokratycznym systemie wyborczym utrata kilku procent poparcia może być zabójcza.

## **CZERWONY ED ZIELENIEJE. ZE ZŁOŚCI**

Według szacunków Roberta Forda z Uniwersytetu w Manchesterze przez brytyjskich Zielonych Labour może przegrać w 22 ważnych okręgach wyborczych. Kluczowe mają być silne ośrodki studenckie, tradycyjne enklawy Liberalnych Demokratów, tj. Bristol West, Norwich South czy Cambridge, okręgi tradycyjnie głosujące na torysów: Hove i Brighton Kemptown, oraz laburzystowkie Birmingham Edgbaston czy Tooting. Nadzieje na to, że Labour odzyska głosy brytyjskich kampusów, które między 2005 a 2010 r. utraciła na rzecz Liberalnych Demokratów przez swoją politykę zagraniczną (Irak) i zmiany w edukacji (podwyższenie opłat za studia), okazały się płonne. „Wykształciuchy”, „lewacy”, „ekooszołomy”, „hipsterzy” zawiedzeni na Nicku Cleggu, który zawarł toksyczną koalicję z Davidem Cameronem, zamiast wpaść w objęcia Eda Milibanda, wybierają niszowych Zielonych. I to coraz chętniej. Mimo że w głównym nurcie znacznie więcej uwagi poświęca się UKiP i Nigelowi Farage'owi, to jednak wzrost poparcia dla Zielonych, choć przemilczany, jest równie znaczącą polityczną zmianą.

Green Party doświadczają zarówno wzrostu liczby aktywistów oraz zaangażowanych sympatyków, jak i sondażowych sukcesów. Dziś partia ma prawie 44 tys. zarejestrowanych członków – więcej niż UKiP oraz Lib-Dem – i solidne 9-proc. poparcie – najwyższe od dwóch dekad. Młodzi, znakomicie wykształceni, kosmopolityczni, liberalnie nastawieni idealiści nie mają zamiaru głosować na Partię Pracy. Argumentują, nie bez racji,

że dzisiejsza Labour to po prostu nieco łagodniejsza wersja Partii Konserwatywnej – tacy torysi light, co skutkuje tym, że nawet w wyniku zwycięstwa Milibanda nad Cameronem rdzeń polityki społecznej i ekonomicznej pozostanie taki sam. A nie tego oczekują.

Problem w tym, że do bólu pragmatyczna i kurczowo trzymająca się centrum Partia Pracy nie ma wyborcom mocno lewicowym niczego do zaoferowania. Straszanie hasłem „Vote Green, go Blue” (Głosuj na Zielonych, dostaniesz Niebieskich) – ekwiwalent przestroóg torysów przed flirtowaniem z Farage’em, co „może skończyć się Milibandem przy 10 Downing Street” – jest niepoważne. A nawet gorzej. Pokazuje bowiem, że Partia Pracy nie potrafi trafnie odczytać „zeitgeist” – politycznego ducha czasów. Bo chociaż w normalnych okolicznościach wybory wygrywa się dzięki poparciu i głosom klasy średniej, to jednak dzisiaj nie ma normalnych okoliczności. Mieszczanie wciąż stanowią olbrzymią polityczną siłę, ale to nie oni przechylą wyborczą szalę.

## **GRECKA TERAPIA SZOKOWA**

Już dziś, zaledwie miesiąc po wyborach, Ateny kształtują polityczną rzeczywistość w Europie. Z jednej strony nowy rząd Aleksisa Tsiprasa budzi popłoch wśród elit biznesowych i politycznych, agencji ratingowych, banków i instytucji finansowych, ale z drugiej daje nadzieje rzeszom zwykłych ludzi. A przynajmniej tym o progresywnych poglądach. Okazało się bowiem, że można rzucić wyzwanie możnym tego świata i wygrać wybory mimo medialnej i politycznej nagonki oraz mimo ciągłej dyskredytacji ze strony wszechpotężnych instytucji finansowych. Można dać solidnie i boleśnie po łapie niewidzialnej ręce rynku. I to jedynie samą ideą, bo przecież grecki rząd jak na razie żadnych radykalnych decyzji nie podjął. A mimo to świat finansjery się boi.

Yanis Varoufakis, grecki minister finansów, momentalnie wyrósł na gwiazdę. Przystojny ekonomista, z ciętym językiem i

metaforami, które przemawiają do wyobraźni, w ostatnich tygodniach jest politycznym celebrytą, wprawiającym lewicowych wyborców w zachwyt. Gdy zawitał na Downing Street ubrany w jeansy, z rozpiętą koszulą, od razu podbił serca „lewaków”. Bo swoim strojem zaprezentował jasny przekaz. Lewicowy publicysta Simon Jenkins w „Guardianie” wyjaśnił to precyzyjnie: „Nie ubieram się jak bankier, bo nie jestem bankierem. Nie myślę i nie działam jak bankier. Nie zadzieraj ze mną. Mam za sobą masy i kraj w stanie bankructwa. Kiedy banki bankrutowały, uratowaliśmy je. Kiedy biznesmeni upadali, ogłasza bankructwo i zaczyna z nową, czystą kartą. Kiedy upada państwo, konsekwencje są takie same. Banki pożyczają mojemu krajowi bez opamiętania i bez sensu. Spójrz mi w twarz. Poczuj mój zarost. Zrozum moją wściekłość i determinację. Bądźmy szczerzy, nie dostaniesz tych pieniędzy”. I rzeczywiście w Varoufakisie można dostrzec ekonomicznego bulteriera, który nie ulegnie panom w cylindrach. Na którym nie zrobi wrażenia mahoniowe biurko ani skórzana kanapa. Jaki kontrast między greckim ministrem finansów a George’em Osborne’em czy Edem Ballssem, kanclerzem w gabinecie cieni Milibanda. Obaj Brytyjczycy są bowiem wymarzonymi partnerami dla wilków z City i Wall Street. Balls robi wszystko, żeby zostać zaakceptowanym przez korporacyjnych tytanów. Zwłaszcza teraz, kiedy to Stefano Pessina, prezes firmy Boots, ze względów podatkowych rezydujący w Monaco, ogłosił, że „czerwony Ed chce prowadzić politykę przeciwko przedsiębiorcom”. Kiedy Labour zripostowała, że pouczenie ze strony kogoś, kto nie płaci podatków, jest kwestią wielce wątpliwą, wybuchł pożar polemik. Balls uwijał się jak w ukropie, żeby je wszystkie gasić. Niepotrzebnie. 60 proc. Brytyjczyków uważa, że rząd powinien być „ostrzejszy w stosunku do wielkiego biznesu”, a 57 proc. wyborców Labour domaga się, aby Partia Pracy skończyła z polityką zaciskania pasa oraz rozluźniła stosunki z USA.

Brytyjczycy chcą terapii szokowej. Terapii szokowej w stylu greckim, skierowanej tym razem przeciwko biznesowi, a nie zwykłym ludziom. Co prawda Wyspiarze nie wiecują jak w Grecji

czy w Hiszpanii ani nie głosują masowo na partie skrajne, ale powoli i stopniowo się radykalizują. Jeśli Partia Pracy w porę nie uchwyci obecnego klimatu społecznego, przegra wybory.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)